Rok X^ty. Nr. 51.

Szkółka niedzielna



Módl się i pracuj, a będziesz szczęśliwy.

Leszno. — *Niedziela czwarta Adwentu*, dnia 20. Grudnia 1846.

Religia.

Żywot Bonawentury Frezera, Karmelity bosego;

podług *J.*

Rzadki wzór doskonałości chrześciańskiéj i zaparcia się samego siebie znachodzimy w żywocie Ojca Bonawentury Frezera. Urodził się r. 1638 w województwie krakowskiém, z ojca Aleksandra Frezera, matki Barbary Szczepanowskiéj, pochodzącéj z familii Św. Stanisława Biskupa. Już w piérwszéj młodości odznaczał się szczerą pobożnością, a celując pomiędzy rówiennikami w naukach, przewyższał wszystkich niewinnością i wstydliwością życia. Trafiło się, że gdy na święta przybył ze szkół do domu, jedna z dworskich panien zaczęła go wychwalać z urody, a szczególniéj z pięknych brwi. Co usłyszawszy Stanisław, (bo takie mu dano imie na Chrzcie św., Bonawenturą zaś nazwano go w zakonie), wyszedł do swego pokoiku i takowe sobie poostrzygał, żeby się z nich nikomu nie podobał.

Gdy mu już siedmnasty rok dochodził, zwyciężywszy niejakie przeszkody ze strony rodziców, wstąpił do zakonu Karmelitów Bosych. W nowicyacie tak wysoko postąpił do doskonałości zakonnéj, że go Przełożony za jedyny przykład i obraz cnót wszelkich drugim wystawiał.

Zostawszy kapłanem, objął ambonę, i ten urząd apostolski tak chwalebnie i szczęśliwie sprawował, iż na jego kazania gromadnie się ludzie schodzili i ubiegając się o miejsca, częstokroć ławki łamali, albowiem mówił z serca i do serca przemawiał, i każdy z jego kazania ze zbudowaniem odchodził. Dla niepospolitéj biegłości w wyższych umiejętnościach, pożytecznych kościołowi Bożemu, przez wiele lat młodzi zakonnéj wykładał naukę Filozofii i Teologii. Ceniąc jego zdolności i zasługi, powoływano go na różne urzędy w zakonie, na ostatek raz i drugi obrany był Prowincyałem.

Była w duszy jego wiara w tak doskonałym stopniu, że pospolicie mawiał: „ja za wiarę nie będę miał zasługi, bo nie tylko wierzę, ale widzę, co wierzę;“ i znać było w nim tę żywość wiary we wszystkich sprawach i naukach jego, że rozum jego zawsze się wpatrował w prawdę wiecznéj mądrości; w nadziei ku Panu Bogu był mocny i gruntowny. Przeto, gdy kogo widział w wątpliwości i bojaźni o zbawienie, dziwować się było potrzeba, jak mądre miał wynalazki i światło

przyrodzone do ugruntowania duszy w dobréj nadziei, choćby też była w największych pokusach i rozpaczy, czego wielu na sobie doświadczyło.

W miłości ku Panu Bogu był wszystek utopiony, albowiem wszystkie jego słowa, nauki, pisma, ogień miłości boskiéj wyrażały i radby był wszystek świat do miłości Pana Boga zapalił; dla tego często mawiał: gotówem krew do ostatniéj kropli z siebie wytoczyć, dla większego w każdym postępku w miłości Pana Boga. Z téj zaś miłości boskiéj wynikała z niego wielka miłość bliźniego, którą rad oświadczał uczynkami miłosiernemi. A tak, gdy widział duszę jaką, w potrzebie duchownéj będącą, wszystkie siły na jéj duchowny ratunek obrócił, skutecznemi słowy ją cieszył, posty, dyscypliny, modlitwy, leżąc w najcięższych mrozach krzyżem na posadzce marmurowéj, za nię ofiarował.

Kiedy go kto o co prosił, zaraz dał, chociażby sam tego potrzebował. Często mu się trafiło za urzędu prowincyalstwa, że co miał na drogę, wszystko ubogim rozdawał, a sam potém nie miał się czém utrzymywać, i kiedy go proszono, żeby też i dla siebie co zostawił, odpowiadał: „Pan Jezus do mnie rękę wyciąga przez ubogiego, a ja mu nic mam nie dać? moje to szczęście, że Pan Jezus chce wziąść odemnie; nie frasujcie się o mnie, odda mi to dobry Pan Jezus; wie On, że potrzebuję, to da.“ Jakoż się wydarzało, że jego jałmużnę zaraz mu we dwójnasob wynagradzał. Wyjeżdżał pewnego czasu na wizytę klasztorów; na wsiadaniu samém przyszedł do niego jeden pobożny, ale ubogi człowiek, prosząc go o wspomożenie. Mając Bonawentura trzydzieści złotych na drogę, dał mu wszystkie. Aż oto ledwie co od niego odszedł, przyniesiono mu od pewnego Dobrodzieja dziesięć talarów bitych, zatém rzekł do Braci: „już mi więcéj nie brońcie dawać jałmużny w ubogich mojemu Dobrodziejowi Panu Jezusowi.“

Taż miłość jego wydawała się doskonale ku bliźnim mniéj mu przychylnym; bo kiedy mu kto w czém krzywdę uczynił, albo przykrość jaką wyrządził, on tego wszystkiego zapomniał, i wielką miał pociechę, gdy mu się podała sposobność uczynić co dobrze takiemu; przeto pospolicie mawiano: szczęśliwy ten, co Ojcu Bonawenturze krzywdę uczyni, bo mu z tém dobrze; osobliwą miłość ku sobie od niego odbiera. Kiedy mu przyjaciele czasem radzili, żeby krzywdy swojéj dochodził, ile mając władzę Przełożonego, odpowiadał: „prawda jest, żebym mógł; ale, kiedy o tém pomyślę, zaraz mi Pan i Dobrodziéj mój, ukrzyżowany Jezus, stawa w oczach ze swoim przykładem, jako On postępował z nieprzyjaciółmi swymi, i zwiąże mi rozum, że nie mogę nic złego moim nieprzyjaciołom czynić, tylko to, do czego mi Pan przykład z siebie pokazał: modlić się za nich i dobre im za złe oddawać.“

Cierpliwość jego była prawie niezwyciężona, lubo go Pan różném utrapieniem przez wiele lat doświadczał, tak na umyśle, jako i na ciele, bo i złe języki ponosił i ciężkie przez kilkanaście lat choroby, w których jednak żadnych wygód nie przypuszczał. Nuncyuszowi papiezkiemu, gdy go dla zachowania zdrowia dyspensował, aby jadał mięsne potrawy, pokornie podziękował za tę łaskę, ale jéj przyjąć nie chciał. Gdy widział wielkie Braci staranie około zdrowia swego, mawiał do nich żarliwie: „Pan Jezus zesłał na mnie chorobę, żebym Mu w niéj mi-

łość moję oświadczył, a wy téj łasce Pana Boga przeszkadzacie.“

Zdarzyło się raz, że pracując w spowiedzi u Sióstr swoich zakonnych, tak osłabł na siłach, iż musiał odejść do klasztoru swego, i przyszedłszy do celi, zdjął płaszcz i położył się na łóżku. Wtém jeden z młodych zakonników przyszedł do niego i począł ostro następować na niego, mówiąc: oto drudzy chwałą Pana Boga w chórze, a waszmość się wylegasz, dufając w swoje prałactwo (godność), i kazał mu zaraz iść do chóru. Na co ojciec Bonawentura nic nie mówiąc, natychmiast poszedł, nikomu nie wspominając o swojéj słabości, ani o niesłuszném strofowaniu owego Zakonnika. Ale potém sam ów zakonnik żałując swojéj nierozważności, wyznał winę swoję; za co gdy go Przełożony chciał karać, bronił go Bonawentura i wymawiał, mówiąc z wielką pokorą: „Panie Boże mu zapłać! słusznie to on uczynił, że mi prawdę powiedział: to mi prawdziwy przyjaciel; znać, że to nie prawdziwa moja choroba, kiedym mógł wstać i śpiewać z drugimi w chórze.

Wydoskonalony we wszystkich cnotach, zapracowany w kościele św. i swoim zakonie ten sługa boski, przyjechawszy do Warszawy, śmiertelnie i nader boleśnie zachorzał. Jednak w téj chorobie tak był cierpliwy, że lubo gwałtowna gorączka ciężkie w nim sprawowała pragnienie, nie pił więcéj, tylko ile kazano. Gdy mu kauteryą (*) wypalano, i dokuczające pryszcze stawiano, żadnego znaku boleści po sobie nie pokazał, którego cierpliwości dziwując się cyrulik, rzekł te słowa: jeszcze mi się nie trafiło mieć tak cierpliwego pacyenta.

(*) Dziura w skórze wypalona, dla odciągania wilgoci; fontanella.

A gdy lekarz powiedział, że już nie można ratować żadnym przyrodzonym sposobem, a to słudze boskiemu oznajmiono, zawołał z radością: „Panie Boże mu zapłać; to prawdziwy przyjaciel; zaczém proszę o Sakramenta święte.“ Przyjął je z dziwném nabożeństwem, a gdy przed nim czytano różne akty nabożne, mile je słuchał; nadto prosił, żeby mu niektóre pieśni śpiewano, osobliwie ową: „A kiedy, kiedy, z téj ciała biedy, wyzwolisz duszę moję.“ Nakoniec spojrzał na obraz Najświętszéj Panny Maryi, do któréj szczególniejsze miał nabożeństwo, także na swoich Ojców raz i drugi, i skłoniwszy głowę po dwa razy, niby dziękując, trzymając gromnicę w jednéj ręce, w drugiéj krucyfiks, całował nogi Pana Jezusa, a wymówiwszy te słowa: „w ręce Twoje Panie polecam duszę moję,“ tak łagodnie skonał, że nie znać było, tylko jakoby zasnął. Stało się to r. p. 1687. O zaiste! błogosławieni umarli, którzy w Panu umierają, bo ich uczynki idą za nimi!

Gospodarstwo rólnicze.

O uprawie ziemi.

(Dokończenie.)

XIV. *O uprawie gruntu mocnego pod jarzynę.*

W gruncie mocnym zwykle się siewa jęczmień; ten zaś wymaga roli bardzo spulchnionéj; ale z drugiéj strony zawierać ona ma dosyć wilgoci i w dobrze rozłożony humus, czyli w pokarm roślinny, być zamożną.

Zwyczajnie jarzyna siewa się po oziminie. Uprawa zatém roli pod piérwszą, stósuje się do uprawy drugiéj; jeźli bowiem rola pod oziminę dobrze doprawioną była, wtedy dosyć jest podorać ją do zupełnéj głębokości w jesieni; na

wiosnę, gdy chwast nieco się puści, należycie ubronować; później jak najdokładniéj zradlić, ubronować i jęczmieniem obsiać.

Jeźli skutkiem złéj uprawy pod ozimine, lub uchybienia onéj, rola tak dalece zdziczała, czyli na powierzchni onéj tak mocna darń się utworzyła, iż jéj podwójną orką doprawićby nie można, wtedy należy ją w jesieni, jak można najwcześniéj, płytko podorać, — przed zimą do zupełnéj głębokości odwrócić; na wiosnę, postępować jak się poprzednio wskazało.

Odwracanie zaś roli pod jęczmień na wiosnę, jest ze wszech miar szkodliwe, a najprzód, ponieważ przez częste przewracanie, ziemia zbytecznie się wysusza; nadto traci wiele pokarmu roślinnego, który w téj porze roku szybko się tworzy i ulatnia; ponieważ rola zbytecznie się przez to spulchnia, w skutek czego promienie słoneczne mocno ją wysuszają; nakoniec, ponieważ siew się opóźnia. W ogólności, można niemal z pewnością przyjąć, iż odwracanie roli pod jęczmień na wiosnę, więcéj jest szkodliwém, anizeli użyteczném; a więc ziemia koniecznie być musi odwróconą, wtedy jak można najwcześniéj na wiosnę odwrócić ją należy.

Co się wyżéj powiedziało o radleniu i bronowaniu ugoru, stósuje się i do uprawy ziemi pod jęczmień, z tą tylko różnicą, iż wszelkie czynności spieszniéj tu po sobie następować powinny, by ziemi z wilgoci i pokarmu roślinnego zbytecznie nie ogołacać.

Czy kartofle ze siemienia chodowane nie podpadają zgniliźnie?

Gdy w roku 1845 zaczęły pisma publiczne donosić o gniciu kartofli w gruncie nawet zostających, różni różne tego nieszczęścia podawali przyczyny, a zarazem i środki do zapobieżenia gniciu już wybranych. Jeden zdawał się być nieochybny. Przez ciągłe rodzenie, kartofle, mówiono, wyrodziły się, niejakoś zesłabły, trzeba je tedy odrodzić, innego gatunku a świeżego nabyć, to gnić nie będą. A na to nie ma innego sposobu, jak zacząć kartofle chodować ze siemienia. Rzecz ta przemawiała do przekonania. Bogu dzięki! myślałem sobie, dowiedziawszy się o tém; to, choć mi kartofle stare pognią, mam już pare wierteli ze siemienia chodowanych, wystarczą na rozmnożenie. W roku bieżącym zasadziłem tedy na lekkim, górnym gruncie sześć miechów kartofli, które własną ręką ze siemienia uchodowałem sobie. Były rozmaitego koloru i kształtu: białe, czerwone, żółtawe i modre, okrągłe, płaskie, podługowate. Sadzono całe, nieprzerzynane. Gdy przyszło do wybierania, przy końcu Października, najwięcéj zgniłych znalazło się pomiędzy chodowanemi ze siemienia. To nie dobrze, pomyślałem sobie; tymczasem zdrowe tylko kazałem wybierać, a nagniłe pozostawić na roli; i dosyć obfity był plon, bo sto dwadzieścia i trzy wiertele, nie rachując odrzuconych i kilka wierteli skradzionych przed wybieraniem. Usypano je w jeden kopiec, okryto słomą, obrzucono ziemią, zostawiwszy u góry otwór pół ćwierci szeroki, aby para nim odchodzić mogła. Na początku Grudnia, kazałem patrzeć do nich. Pokazało się wiele zgniłych, przebrano je, i odrzucono do piętnastu wierteli.

A więc i chodowanie ze siemienia nie zapobiega gniciu?

Brodnica. X. T. B.

Nakładem i drukiem *Ernesta Günthera* w Lesznie. — (Redaktor: *X. T. Borowicz.*)